WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI.

KSIĄŻKI DLA POLSKIEGO NARODU.

Książka VI. Cena 40 groszy.

Jeśli Cię zapomnę Ojczyzno moja miła, niech zapomnę prawicy ręki mojej!

Ks. RAJMUND KNENDICH

WSPOMNIENIE O KRZYŻU

W ŚWIĄTYNI

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NAR. IM. OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM KAROLA JASIŃSKIEGO.
1912.

WSPOMNIENIE O KRZYŻU

W ŚWIĄTYNI

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/ksiazkidlapolski0006wspo

Wydawnictwo Towarzystwa im. Piotra Skargi.

KSIĄŻKI DLA NARODU POLSKIEGO.
Książka VI. Cena 40 groszy.

Ks. RAJMUND KNENDICH

WSPOMNIENIE O KRZYŻU

W ŚWIĄTYNI

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA IM. PIOTRA SKARGI
1912.

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

Nihil obstat.

Leopoli, die 13. Aprilis 1911.

J. Gaworzewski
censor librorum.

L. 2310.

Pozwalamy drukować.

Z ordynaryatu metropolitalnego obrządku łacińskiego.

We Lwowie, dnia 13. kwietnia 1911.

† *Józef*
Arcybiskup.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAR. IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Karola Jasińskiego.

Wspomnienie o Krzyżu.

Często i głośno odzywają się narzekania na świat zły i ludzi niedobrych, na zanikanie ideałów, na zamęt pojęć, na błądzenie po bezdrożach, na brak myśli uczciwej, przewodniczki pewnej, na próżność życia dzisiejszego.

Tak - li jest?

Ilekroć widok złego mię zasmuca, szukam pocieszenia w dawnych wspomnieniach o tych czasach, w których ludzie, chociaż nie byli bez błędów, ale goręcej może odczuwali i sprawy ojczyste i rzeczy wiary i jaśniej łączyli jedno z drugiem i pewniej jakoś szli naprzód, nie marnując sił na zwątpieniach, sporach o prawdach jasnych i utarczkach wewnętrznych.

Ile to dobrego ja tym wspomnieniom zawdzięczam! Ile nauki z nich wyciągnąłem? Ile razy nauka ta posłużyła mi do ratowania dusz zwątpiałych!

Lubiłem już w młodości słuchać starszych, ludzi dawnego pokolenia, z ich żywych opowiadań uczyć się dziejów ich czasów, czerpać z tej przeszłości wiarę w lepsze jutro.

A starym w to graj! Opowiadać lubią.

— A słuchaj młodzieńcze, ucz się szanować gniazdo, z któregoś wyszedł, poznawaj przeszłość, czcij ją, kochaj, a nie myśl, że od was dopiero świat się zaczyna! Nie pisano za naszych czasów tak dużo jak dziś, no, aleśmy przecie nie stracili wieków całych na sianiu hreczki. Uczycie się z książek wiele, to ładnie, ale uczcie się także poznać przeszłość, bo ona tego warta. Dziś ludzie dzieje piszą — pamiętajcie, że dawniejsi je robili! Składacie hołd temu wielkiemu Polakowi, co wstrzymał słońce, a ruszył ziemię, nie lekceważcie też i tych, co wstrzymali dzicz azyatycką i tylekroć ocalali Europę od zniszczenia, uchylcie czoła przed tymi, którzy padali tysiącami, krwi własnej wytoczyli morze, broniąc nie samej tylko ojczyzny ziemskiej, lecz wiary świętej, a nawzajem w niej czerpali siły do walczenia za ojczyznę.

Wieleż to razy w młodych jeszcze latach, słyszałem takie nauki, wypowiedziane bez gniewu, przeciwnie, pełne miłości dla podrastającego pokolenia.

I uczyłem się z tych opowiadań wiele i lgnąłem do nich, bom w nich czuł życie, bo w nich była świeżość, bom, patrząc na sędziwych gawędziarzy, musiał sobie powiedzieć: oni to sami przeżyli, oni w tych dziejach brali udział, oni je tworzyli potem trudu swego, krwią ran swoich.

I dziś, ilekroć widok nędzy życia codziennego i upadku ducha mię znęka, szukam pociechy w tych

starych wspomnieniach. Odświeżam je w pamięci i czuję, że mi dobrze z niemi, że w nich siła żywotna jest, że ta przeszłość przekazała nam wiele i z niej uczyć się można, jak żyć, ażeby nie upaść ni fizycznie, ni moralnie.

Oto jedno z takich wspomnień, opowiadanie starca, który i dawne czasy pamiętał i przecierpiał wiele, a jako w wierze wyrósł, tak ją czystą w sercu dochował do grobu, pomimo ciężkich doświadczeń doczesnych i cierpień nie małych, powtarzam, ufając, że czytelnicy znajdą w niem to, co ja znalazłem: naukę prostą, a pewną — że krzyż jest znakiem zbawienia zarówno dla jednostki, jak i narodów.

* * *

Byłem małem chłopięciem, zaledwie odrosłem od ziemi, kiedy mnie matka zaczęła uczyć pacierza.

Nie umiałem jeszcze należycie wymawiać wszystkich słów modlitwy, a już me dziecięce usta wymieniały codziennie najświętsze imiona Jezusa i Maryi.

Dzisiaj, po tylu latach, ze łzami w oczach wspominam one chwile wspólnych modłów, które razem z matką odmawialiśmy u stóp krzyża, wiszącego na ścianie w pośrodku pistoletów i skrzyżowanych szabel.

Był to mały hebanowy krzyżyk, ze srebrną postacią Zbawiciela, z kółeczkiem, umieszczonem u szczytu, by go módz zawieszać na szyi.

Z namaszczeniem, jakie na mnie przechodziło od matki, złożywszy drobne rączęta, mówiłem paciorek, następnie modlitewkę o błogosławieństwo i zdrowie dla mamy, taty i całej rodziny, o błogosławieństwo i pomoc dla biednej, skołatanej ojczyzny.

Wówczas bowiem po naszych wioskach, dworach i dworkach chował się obyczaj wspólnej modlitwy, w której błagano Boga o lepszą dolę, o zbawienie Polski.

Rodzice już w zaraniu życia wszczepiali w serca dziatek umiłowanie Boga, cnoty i ojczyzny; wpajali poczucie obowiązku, poświęcenia się i oddania dla spraw ojczystej ziemi.

Nauka nie szła na marne, opierała się bowiem nie na czczych słowach i pustych ich brzmieniach, lecz na życiu przykładnem, które wskazywało, jak słowa zastosowywać do czynów.

Rano i wieczorem, ojciec, matka i służba gromadzili się pod tym krzyżem, aby pomodlić się Panu, nakarmić duszę słowem modlitwy i ożywić ciało, znużone pracą i zabiegami całego dnia.

Uczono nas tej wielkiej prawdy, iż wiara jest podstawą życia rodziny, narodu, że w niej siła najdzielniejsza, z niej tylko czerpać można otuchę w ciężkiej doli na lepszą przyszłość.

Wiedzieli o tem rodzice nasi, więc też poczciwa matka moja nigdy nie poprzestawała na odmawianiu samego pacierza.

— Jasiu, a kochasz ty Pana Boga? — pytała zawsze, gdyśmy kończyli codzienne modlitwy.

— O, kocham bardzo, mamusiu! A czemu to Pan Jezus — pytałem — taki przybity do krzyża?

— Dziecię moje — uczyła matka — to za grzechy ludzkie Pan Jezus przybity do krzyża, On to nas krwią swoją odkupił.

— To Pana Jezusa bolały rączki i nóżki, gdy je przybijali do krzyża, prawda mamusiu?

— Bolały, Jasiu, bolały, ale Pan Jezus i teraz boleje, gdy widzi niedobrych ludzi i niegrzeczne dzieci.

— O, to ja będę bardzo grzeczny, bo ja nie chcę zasmucać Jezuska.

— Teraz Jasiu, módlmy się: Panie Jezu błogosław mamie i tacie, daj im Twą łaskę, zdrowie i długie życie.

— Błogosław mamusi i tatusiowi, daj im zdrowie i długie życie — powtarzałem za matką.

— Błogosław ojczyźnie naszej — mówiła matka — wyzwól naród z niewoli i spraw, abym był dobrym Polakiem.

— Błogosław ojczyźnie naszej — jak echo powtarzałem za matką, jakkolwiek maleńki rozum mój nie pojmował znaczenia tych słów.

— Mamusiu — zapytałem razu pewnego, przerywając modlitwę — a co to ojczyzna?

Ojczyzna, mój maleńki — odpowiedziała matka — to ta ziemia, na której żyjesz, po której stąpasz, razem z całym wielkim narodem, który polskim mówi językiem; mieliśmy naszych królów, nasze wojsko, nasze sejmy, nasze prawa, a teraz ojczyzna na trzy części rozdarta, jęczy w niewoli. Modlimy się więc do Bozi, ażeby te trzy części złączył napowrót, ażebyśmy zrzuciwszy obce jarzmo niewoli, na własnej ziemi byli wolnymi jej panami.

W duszyczce mojej dziecięcej świtała myśl, że ktoś, jakiś niegodziwiec, wyrządził ojczyźnie straszną krzywdę, kiedy rozdarta jęczy w niewoli.

W wyobraźni dziecka słyszałem ten jęk boleści, co do głębi wniknął w serca i już w zaraniu życia, odczuwałem krzywdy mej rodzinnej ziemi.

Współczując już wtedy cierpienia narodu, wyciągałem dziecięce ręce do krzyża i modliłem się: O, Jezusie, błogosław ojczyźnie naszej, wyzwól z niewoli i spraw, abym był dobrym Polakiem.

Zacna, poczciwa matka, tyle własnej pobożności i uczucia wlewała w te modły dziecięce, że z niecierpliwością oczekiwałem szczególniej wieczornej pory, ażeby uklęknąć przed krzyżem i rozmawiać z Jezusem.

Czułem, że ta cicha modlitwa wieczorna, w słabo oświetlonym pokoju, staje się potrzebą dziecięcego serca mojego i tak mi dobrze i ciepło było pod krzyżem, że pragnąłem z drogą matką moją klęczeć jaknajczęściej u stóp jego.

Każdy szczegół, widziany na krzyżyku, zajmował mnie bardzo; pytałem o koluszko u szczytu, o gwoździe w rękach i w nogach, o koronę cierniową na głowie Pana Jezusa i o blaszkę z napisem, umieszczoną u szczytu.

Zdawało się, że obejrzałem krzyżyk już dokładnie. Ale razu pewnego zastanowiła uwagę moją poprzeczna rysa na kończynie jego trzonu, czerwona, ale tak ciemna, iż ledwom ją spostrzegł.

— Co to za plamka czerwona na dole krzyża, mamusiu — pytałem ciekawie. — Czy i na krzyżu Pana Jezusa był taki znak, czy to tylko plamka?

— Po pacierzu wytłomaczę ci to Jasiu — odpowiedziała matka.

Przyznam się otwarcie, że zajęty nowem odkryciem, odmawiałem modły z wielkiem roztargnieniem, czekając niecierpliwie, aż poczciwa matka zaspokoi moją ciekawość.

— Ten krzyż, to cenna pamiątka w naszej rodzinie — zaczęła matka, gdyśmy po pacierzu usiedli u stołu — zawiera on wewnątrz relikwie krzyża św., a poświęconym jest przez samego Ojca św. w Rzymie. Twój dziadek, kiedy się

żegnał z babką twoją, idąc na wojnę w dalekie kraje, otrzymał od niej ten krzyżyk. Płacząc serdecznie, zawiesiła mu go na piersiach, pod mundurem ułańskim.

— Mamusiu — przerwałem — a po co dziadek szedł na wojnę w dalekie kraje?

— Był cesarz Francuzów, Napoleon, który przyrzekł Polakom, że odbuduje Polskę, gdy pójdą z nim bić się w obcych krajach. By lepszy ojczyźnie zgotować los, poszedł twój dziad i bił się o głodzie i chłodzie, niemal po całym świecie.

Było to stąd daleko, na południu, w Hiszpanii.

Napoleon oblęgał wąwóz skalisty, Samosiera zwany; ażeby go zdobyć, trzeba było drapać się na skalne szczyty, najeżone bagnetami, opatrzone w śmierć ziejące działa.

Z zaparciem się siebie, z lekceważeniem życia pięły się w górę szyki Francuzów pod ogniem granatów, kartaczy i kul hiszpańskich. Gęsto padały trupy, żołnierze prześcigali się w waleczności, lecz nie mogli zdobyć skalistej twierdzy.

— Polacy naprzód! — zawołał wtedy Napoleon.

Zagrzmiały trąbki, odezwały się głosy komendy i w mgnieniu oka ułani nasi z okrzykiem Bóg i ojczyzna, rzucili się na nieprzyjaciela.

Jak wicher, pędził również twój dziad z dobytą szablą na dzielnym rumaku, narażając się

na śmierć pewną od kul Hiszpanów, ukrytych za wyłomami skał.

Wtem huk straszny, jakby się wszystkie rozpękły skały i nagle spadły z góry w dolinę, ogłuszył dziadka.

Równocześnie ujrzał błysk szabli i nieprzytomny runął z konia na ziemię.

Kiedy się ocknął, czuł straszny ból w zranionej piersi, szum w uszach i osłabienie w całem ciele.

Zapomniał jednak o wszystkiem, gdy się dowiedział o zwycięstwie naszych ułanów i gdy usłyszał jak Napoleon wołał z konia: „brawo Polacy, brawo!"

Dziwne, nieokreślone uczucie przejęło jego serce, gdy nagle rozstąpiły się szeregi, a cesarz, zsiadając z konia, zdjął krzyż legii honorowej z własnej piersi i przypiął go dziadkowi.

I znowu grzmiały działa, grały trąby, a szyki wojsk francuskich i bohaterscy ułani, w długim pochodzie ciągnęli przed Napoleonem, wołając z zapałem: „niech żyje cesarz!"

Radość powszechna panowała w obozie Polaków, którzy zwycięstwo to i otrzymane rany, uważali za pomyślną przepowiednię dla naszej biednej ojczyzny.

Jednak srogo zawiedli się wszyscy.

Napoleon nie odbudował Polski, tak, jak obiecywał, bo może nie mógł, a na pewne nie chciał

Dziadek, odurzony wybuchem blizkiej miny, odzyskał rychło przytomność, a powoli wyleczył się z rany, wprawdzie bardzo ciężkiej, lecz nie śmiertelnej, ponieważ ostrze nieprzyjacielskiej szabli znalazło opór na drzewie krzyżyka i osłabiło straszne cięcie, wymierzone w pierś.

Wrócił tedy do ojczyzny, a zamieniwszy miecz na pług i lemiesz, zawiesił ten krzyżyk na ścianie i codziennie przed nim dziękował Bogu za swe ocalenie...

Stąd to pochodzi ta rysa i czerwona plamka skrzepłej krwi twojego dziadka, jaką widzisz na krzyżyku.

Z uwagą niezwykłą w tym wieku, łowiłem każde słowo matki i na zawsze zachowałem je w pamięci.

Przypominam sobie, iż długo w tę noc usnąć nie mogłem i dopiero nad ranem sen skleił me powieki.

W rozognionej fantazyi widziałem poważną postać dziadka, jak w pięknym stroju ułańskim o czerwonych rabatach, z kaskiem buńczuczno nieco na bok przechylonym, pędzi na dzielnym koniu z dobytą szablą w ręku i gromi na prawo i lewo nieprzyjaciół szyki.

Wtem widzę błysk szabli i krew po amarantowych rabatach spływającą z jego piersi i wśród strasznego huku ciało dziadka, spadające z konia,

między wąwozy, skały, połamane szable i strzelby, wywrócone działa.

Załkałem głośno, a łzy potokiem polały się po policzkach.

— Co ci to Jasiu? — pytała zbudzona matka.

— Mamusiu, mnie żal dziadzia i krzyżyka.

— A, fe Jasiu, to ty nie chcesz być ułanem i walczyć za Polskę?

— Mamusiu — odpowiedziałem, tuląc się do matki — chcę być ułanem i pójdę walczyć za ojczyznę, ale mi żal dziadzia i krzyżyka.

Tak to w tej szkole matczynej uczyłem się kochać Boga i ojczyznę, a miłość ta po opowiedzianym wypadku, stawała mi się coraz jaśniejszą i przystępniejszą do poznania.

Odtąd już z innem przejęciem i innem uczuciem wyciągałem codziennie rano i wieczorem ręce do krzyża i mówiłem gorąco: o Jezu, błogosław ojczyźnie naszej, wyzwól z niewoli i spraw, abym był dobrym Polakiem.

*

Opowiadanie matki wzbudziło we mnie zapał rycerski.

Wkrótce złożyłem oddział ułanów, składający się z synów gajowego, towarzyszów moich psot i zabaw dziecięcych.

Na wierzbowych rumakach, z drewnianemi szabelkami w ręku, pędziliśmy na mały pagórek w ogrodzie, a krzycząc co sił starczyło, biliśmy

urojonych wrogów na kwaśne jabłko, poczem w uroczystym pochodzie wracaliśmy przed ganek, gdzie ojciec i matka rozdawali ordery, w postaci jabłek, orzechów i cukrów.

Po każdej walce kładł tatuś rękę na moją główkę i mówił z rozrzewnieniem: pamiętaj Jasiu, bądź dobrym Polakiem!

Każde słowo kochanego ojca brzmiało w mych uszach, jak słowo Napoleona, wypowiedziane do dziadka po bitwie, a każde jabłko, dane mi po skończonych utarczkach w ogrodzie, miało w mej wyobraźni znaczenie krzyżyka legii honorowej, który otrzymał niegdyś mój dziad z rąk cesarza, w nagrodę waleczności.

Po niejakim czasie zauważyłem, że w jednostajnem życiu naszego dworku, zaszła jakaś ważna zmiana, z której z początku nie umiałem zdać sobie sprawy.

Dochodziły mnie słowa, powtarzane przez rodziców, znajomych, służbę, o Warszawie, o Wysockim, szkole podchorążych, o wielkim księciu i tym podobne, których już dzisiaj nie pomnę, bo ich wówczas dobrze nie pojmowałem.

Wkrótce coraz częściej zaczęli do nas zjeżdżać znajomi i nieznajomi goście z dalszych i bliższych stron; na gościńcu, tuż pod dworkiem widać było jakiś żywszy ruch; od czasu do czasu ciągnęły piesze lub konne oddziały wojsk, dudniały armaty, sunęły furgony i ładowne wozy.

Nasza maleńka armia z rozdziawionemi buziami stała na drodze, podziwiając lufy karabinów, ostrza błyszczące szabel, proporce ułańskie, szumiaste wąsy i miny dzielne wojaków, jakby przyrosłych do koni.

Cóż to ma wszystko znaczyć — pytałem sam siebie — może to taka będzie wojna, w jakiej brał udział dziad mój?

Nie długo czekałem na wyjaśnienie. Pewnego dnia oddział wojska zatrzymał się przed naszym dworkiem, a mnóstwo oficerów i panów znajomych zawitało w gościnne progi naszego domu.

Ciekawie oglądałem błyszczące mundury naszych rycerzy i wpatrywałem się w ich marsowate twarze, z których biło męstwo, odwaga i miłość ojczyzny.

Przy wieczerzy suto zastawionej wznoszono wśród głośnych okrzyków liczne toasty na cześć moich rodziców, na pomyślność ojczyzny, na powodzenie wojny i rychły jej koniec.

Nasi rycerze, upojeni niedawno odniesionem zwycięstwem, rzucali się sobie wzajemnie w objęcia, a podnosząc kielichy, śpiewali raźne piosenki, jak n. p. „Grzmią pod Stoczkiem armaty“... że aż szyby w oknach dźwięczały.

Po skończonej wieczerzy, długo prowadzono poważne, dla mnie niezrozumiałe rozmowy, aż nagle wśród ciszy nocnej zagrała trąbka na dwo-

rze, a na ten znak natychmiast powstali nasi goście.

Zadzwoniły ostrogi i szable, zatętniały kopyta końskie na gościńcu, a z piersi odjeżdżających wojaków bił w niebo wspaniały hymn i szedł po rosie hen daleko, aż echem tysiącznem odezwał się w sercach wszystkich Polaków.

„Oto dziś dzień krwi i chwały — śpiewali ci, co szli na śmierć za ojczyznę — oby dniem wskrzeszenia był, w gwiazdę Polski orzeł biały patrząc, lot swój w niebo wzbił".

Żal mi się zrobiło pięknych ułanów, pytałem więc matki: a gdzie oni jadą?

— Na wojnę, Jasiu, bić się za ojczyznę — odpowiedziała matka.

— A czy wrócą jeszcze? — pytałem dalej.

— Jak Bóg da, dziecię moje — brzmiała odpowiedź.

Tymczasem w miarę oddalania się, coraz bardziej głuchnął gwar i szczęk broni odjeżdżających oddziałów i tylko, jak echo dalekie, niósł wiatr ostatnie zwrotki ich pieśni:

„Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj swobodo, Polsko żyj!
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza wrogom grzmij!"

W istocie grzmiała trąbka bojowa donośnie, a głos jej przeleciał przez całą polską ziemię, powołując do przerzedzających się szeregów oj-

czystych każdego, kto tylko karabin na ramieniu, lub szablę w dłoni zdzierżyć mógł.

Jakież zdziwienie ogarnęło mnie, gdy pewnego poranku ujrzałem mojego tatusia w pełnym mundurze ułańskim, z szablą błyszczącą przy boku.

Pamiętam, jak ze łzami w oczach przyciskał spłakaną matkę do piersi, a potem podniósł mnie do góry, całował i ściskał.

— Jasiu — mówił z drzeniem w głosie — bądź grzecznym, słuchaj mamy, módl się do Bozi i bądź zawsze prawym Polakiem.

Przed gankiem nasz stary gajowy Józef, również przedzierzgnięty w ułana, trzymał w pogotowiu okulbaczone konie.

— Jasiu — mówił Józef, żegnając się ze mną — komenderuj tu naszymi chłopakami, a gdybym nie wrócił, pamiętaj o nich!

Lekko, jak piórko, wskoczył tatuś na konia, za nim gajowy; jeszcze kilka słów gorących pożegnania, ostatnie serdeczne spojrzenie i skinienie ręką, poczem na zakręcie drogi znikli nam z oczu.

Jakoś pusto i cicho zrobiło się w naszym dworku po odjeździe tatusia.

Mama resztę dnia po pracy spędzała na czytaniu pobożnych książek, a że i mnie odeszła ochota do hałasowania z chłopakami, bawiłem

się najczęściej obrazkami i drewnianymi ułanami w kąciku.

Wieczorem do zwykłych modlitw dołączyliśmy jeszcze gorącą prośbę do Boga o pomyślność taty i ojczyzny.

Gdy w czasie pacierza podniosłem wzrok w górę, spostrzegłem, że na ścianie w tem miejscu, gdzie dawniej wisiał hebanowy krzyżyk, teraz świeciła pustka.

— Mamusiu — zapytałem zdziwiony — a gdzie podział się krzyżyk?

— Jak niegdyś dziadek — odpowiedziała matka — tak dzisiaj tatuś na piersiach swoich poniósł go na wojnę.

Zasypiałem całkiem spokojnie, przekonany, że kiedy ten krzyżyk wisi na piersiach tatusia, nic mu się złego nie stanie na wojnie.

Ciszę naszego osamotnionego dworku przerywały obecnie tylko wieści, nadchodzące z wojennego pola.

Gdy dobre były, poznawałem łatwo, oblicze matki bowiem promieniało od szczęścia, gdy złe, pokrywało się jakąś smutną powagą.

Sprzykrzywszy sobie bezczynność w pokoju, wróciłem do dawnych zabaw na dworze, gdzie z moimi ułanami, oddanymi mi w opiekę przez ojca, zdobywałem twierdze, gnębiłem wroga i niejednego oberwałem guza.

Po jednej walnej potyczce, w której świetne nad wrogiem odniosłem zwycięstwo, wpadłem do domu, ażeby się z mamusią podzielić moim tryumfem.

Zastałem ją zalaną łzami, pochyloną nad modlitewną księgą, skąd czerpała zawsze pociechę i otuchę w ciężkich chwilach życia.

Przytuliłem się do niej, a patrząc w słodkie oczy, całowałem po rękach i pragnąłem te drogie łzy pocałunkami moimi osuszyć.

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus — usłyszałem w tej chwili dobrze znany mi głos naszego starego, zacnego proboszcza.

Skulony, poczciwy staruszek, którego byłem ulubieńcem, zwykle wesoły, pełen rubasznego humoru, miał dzisiaj tak poważną i zakłopotaną minę, że nie śmiałem, jak zazwyczaj, pobiedz ku niemu, aby ze czcią ucałować jego drżące ręce.

Długo rozmawiali ze sobą matka i poczciwy proboszcz. O czem, nie wiem. Pamiętałem tylko niektóre urywane słowa proboszcza, jak: Grochów, lasek... olszynka... okryli się chwałą... legli śmiercią bohaterów...

— Łaskawa pani — rzekł w końcu zacny kapłan — musimy się zdać zupełnie na wolę Boga.

— O, ja już oddawna zdałam się na Jego wolę — mówiła matka — ale dziś bardziej, niźli kiedykolwiek, uczuwam silny niepokój, tem bar-

dziej, iż od dłuższego czasu z pola walki żadne nie doszły mnie wieści.

— Proszę pani, ja mam niejakie wiadomości — rzekł z pewnem wahaniem staruszek — lecz proszę się nie przerażać, bo chociaż nie są bardzo dobre, ale nie są znowu tak złe...

Mimowolnym odruchem powstała matka i długo wpatrywała się w kapłana, jakby pragnęła wyczytać z jego pomarszczonej twarzy tajemnicę, którą zdawał się chcieć ukryć.

— Księże proboszczu — rzekła z mocą — posiadam dość męstwa i wiary, ażeby każdą wiadomość, jakakolwiek ona jest, przyjąć ze spokojem. Proszę niczego przedemną nie taić!

— Daleką ta myśl odemnie — odpowiedział proboszcz — pragnąłem tylko przygotować panią... Mąż ranny...

— O Boże! — szeptała matka.

— Gdy ranny spadł z konia, poczciwy Józef Gajowy wyniósł go wśród strasznego ognia z pola bitwy, a teraz obaj są w drodze do domu...

— O Jezu, Jezu, dziej się Twoja wola — powtarzała matka, tłumiąc łzy.

— Jak sądzisz, księże proboszczu, czy może być stąd daleko? — zapytała wreszcie.

— Według otrzymanych wieści, powinien być już bardzo blisko...

Zdaje mi się, że po raz pierwszy w życiu moja matka zapomniała o mnie!

Stanęła, jak gromem rażona. Dreszcz nią wstrząsnął. Potem niby spokojniejsza się stała. Zrozumiała słowa księdza, tak ostrożne.

Wybiegła przed dom, a ja za nią. Za nami, ocierając łzy ukradkiem, szedł stary proboszcz, powoli, jakby go siły opuszczały.

Przed dworek właśnie zajeżdżał wóz prosty, słomą i kocami wysłany. Na tem posłaniu leżał mój tatuś kochany, podtrzymywany przez starego naszego Józefa.

Skutkiem podróży po złych, kamienistych drogach, zdaje się, że ojciec omdlał, bo oczy miał przymknięte, a twarz, którą pamiętałem tak świeżą, rumianą, była jak wosk żółta.

Wśród głębokiego milczenia zdjęto go z wozu i ostrożnie przeniesiono do pokoju i ułożono na miękkiem łożu.

Matka zdawała się spokojną, widocznie starała się ukryć wzruszenie, tylko łzy jedna po drugiej, jak groch, płynące po twarzy, świadczyły o jej cierpieniu i boleści głębokiej.

Wreszcie otworzył mój drogi tatuś oczy, a powiódłszy wzrokiem dokoła, uśmiechnął się do nas słabo, ale tak tkliwie, iż nigdy tego uśmiechu nie zapomnę.

Zdało nam się wówczas, że czarne, gęste chmury rozsunęły się nagle i ukazały szafirową cudowną toń nieba; czuliśmy doprawdy, że w te ciemnie naszego smutku zajrzało w tej chwili prze-

cudowne słońce, pełne blasku, powracające nam wesele, radość, wszystko...

Jakoś już śmielej spoglądając na ojca, teraz dopiero spostrzegłem pierś jego przewiązaną białą, skrwawioną chustą.

Przyjechał felczer z pobliskiego miasteczka, a zbadawszy ojca, orzekł, że rana, choć ciężka, zagoi się i że w niedługim czasie drogi tatuś zdrów będzie zupełnie.

O Boże, co się działo w on czas w mojem dziecięcem serduszku, czyż mogę opowiedzieć nieudolnym językiem i opisać piórem, które drży w starej ręce na wspomnienie owej chwili?!

Pamiętam dobrze, że przy wieczornym pacierzu dnia tego zalewaliśmy się wraz z matką łzami wdzięczności za uratowanie nam ukochanego tatusia.

Kiedy jak zwykle podniosłem oczy, ujrzałem znowu na ścianie krzyż, zdjęty z piersi ojca i zawieszony na dawnem miejscu.

Wpatrując się weń z uwagą, ujrzałem obok pierwszej, drugą rysę od cięcia szabli i świeżo zakrzepłą plamkę krwi.

— Mamusiu — prosiłem, gdyśmy ukończyli pacierze — pozwól mi ucałować nasz drogi krzyżyk.

— Dobrze, Jasiu — mówiła wzruszona matka — ucałuj go, gdyż on osłabił cięcie wrogiej szabli i uratował ci ojca; ucałuj go, bo na nim obok

krwi dziadka, zakrzepła krew bohaterska twojego ojca!

*

Od wspomnianych wypadków, które mi po dziś dzień żywo stoją w pamięci, upłynęło wiele, wiele lat.

Z Zosią, ukochaną żoną moją i synkiem maleńkim, Tadeuszem, zamieszkiwaliśmy ten sam dworek, wspólnie z drogą matką moją, opłakującą śmierć ojca, smutną i niepocieszoną w swem wdowieństwie.

Na pracy mozolnej na ojczystym zagonie, przeplatanej modlitwą i wspomnieniami dawnych, minionych chwil, przy ogniu płonącym na starym kominku, szybko upływał nam czas.

Zdawało się na pozór, że kajdany, w które nas skuto, tak przyrosły do ciała, że naród ciężaru ich nawet nie czuje, że orzeł biały, co niegdyś tak śmiało zrywał się do lotu, teraz opuścił skrzydła, a usadowiwszy się na słupach granicznych, zamiast czuwać, usnął — może na zawsze.

Tymczasem wulkan, na pozór spokojny i chłodny, palił się wewnątrz, huczał i grzmiał ponuro, aż wybuchł na zewnątrz i czerwonym ogniem, jakby łuną pożaru zakrwawił niebo.

Przez całą polską ziemię szło jedno hasło: „za wolność, za ojczyznę!“ I wpadało do dusz miłujących kraj, zrazu jak mała iskra, wszczyna-

jąca pożar, co miał róść i objąć całą ziemię polską.

Pustoszały dworki, domy i chaty, a w lasy i niedostępne bory ciągnęła młódź nędznie uzbrojona, nieraz przymierająca głodem, często zaledwie kilkanaście wiosen licząca, na krwawy bój, na rzeź, by spłacić dług, należny ojczyźnie.

Chciano ją powstrzymać, ścigano, stawiano przeszkody, na darmo!

Zapał jej nazywano szaleństwem, jakby, pożal się Boże, szaleństwem było walczyć za wiarę, walczyć za ojczyznę.

Jeżeli to poświęcenie się, to oddanie pierwocin swego życia ojczyźnie, było szaleństwem, to młodzi ci ludzie szaleństwo swoje okupili poniewierką, męczeństwem, wygnaniem, Sybirem, okupili krwią i śmiercią swoją i za to cześć im się należy; chwała i pomnik nieśmiertelny wdzięczności im się należy za przykład, jaki dali następcom swoim, którzy, daj to Boże, oby w miłości ojczyzny kroczyli ich śladami!

Byłem o wszystkiem powiadomiony i czekałem hasła.

Raz późną nocą ktoś dwa razy mocno zastukał do okna i zniknął w ciemnościach.

Zerwałem się szybko, pistolety zatknąłem za pas, szablę ojcowską do boku przypiąłem, a uścisnąwszy Zosię i śpiącego Tadzia, upadłem do nóg mej matce i na pożegnanie ucałowałem jej ręce.

— Idź Jasiu — mówiła matka, wieszając na mych piersiach hebanowy krzyżyk, noszony w bitwach przez dziada i ojca — idź, niechaj cię chroni Jezus i ten święty krzyż.

Wskoczyłem na konia i wraz z Wojciechem, synem gajowego, dawnym ułanem moim z lat dziecięctwa, popędziłem w las, gdzie według umówionego znaku, gromadził się nasz oddział.

Od tej chwili zaczęła się nasza tułaczka po wąwozach, górach i lasach, gdzieśmy ze zmiennem szczęściem staczali walki z nieprzyjacielem.

Nadzieja zagranicznej pomocy, ufność we własne siły, bezgraniczne oddanie się świętej sprawie, dodawało nam bodźca do walki przewlekłej, mozolnej, nierównej, z przemożnym wrogiem, a idea bohaterstwa osładzała nam nadmierne trudy, forsowne marsze, chłód i głód nieraz.

Razu pewnego, skryci dobrze, jak nam się zdawało, przed okiem nieprzyjaciela, w małym jodłowym lasku, pomyśleliśmy o sprowadzeniu z sąsiedniego miasteczka zapasów żywności, bo już zaczynało braknąć wszystkiego. Jeszcze dzień, a chleba suchego nie starczy.

Wysłannicy nasi wrócili jednak rychło z groźną wieścią, iż oddział znaczny nieprzyjacielskiej konnicy, powiadomiony zapewne o naszej obecności, zbliża się ku laskowi.

Nie było czasu do stracenia, ani wyboru!

Otoczeni, musielibyśmy zginąć z głodu. Pozostał jedyny środek ocalenia, a mianowicie, za jaką bądź cenę przedrzeć się przez nieprzyjaciela i wydostać się z pułapki.

W mgnieniu oka komendant nasz ustawił piechotę na skraju lasu, oddział zaś konnicy, do której należałem, ustawił z boku, kryjąc go za małem wzniesieniem.

Za drugim, trzecim strzałem rotowym naszych, celnie mierzących piechurów, poczęły się mięszać nieprzyjacielskie szyki. Wówczas, na znak komendanta, z okrzykiem: „Bóg i ojczyzna!", jak huragan, wpadła konnica nasza na karki wrogów.

Pędziliśmy naprzód, jak huragan. Wkrótce pośpieszyła nam na pomoc nasza dzielna piechota, atakując bagnetami.

Rozpoczęła się rzeź straszna! Wśród dymu ognia i tumanów piasku, widziałem trupy nieprzyjaciół, spadające z koni, konie bez jeźdźców pędzące w nieładzie, widziałem wrogów, tchórzliwie zmykających z pola i byłem pewien, że dzisiaj zwycięstwo po naszej będzie stronie.

Gdym się w wirze tej walki zwijał jak w ukropie, parując i zadając razy, jeden z wrogów tuż przy mnie umykając z pola, nagle, niespodzianie ciął mnie przez piersi oburącz pałaszem i popędził dalej.

Czułem, że krew ze mnie uchodzi; zaćmiło

mi się w oczach; tracąc przytomność, zwaliłem się z konia.

Gdym się ocknął, cisza już była wieczorna; nad laskiem, do którego przenieśli mnie towarzysze, zachodziło słońce i krwawo barwiło nasz obóz, gotujący się do wymarszu.

— Przy kim zwycięstwo? — było moje pierwsze pytanie.

— Bogu dzięki, przy nas — odpowiedział poczciwy Wojciech, czuwający przy mnie — ale żeby nie krzyż na piersiach, pono jużbyśmy więcej nie oglądali pana.

Krzyż osłabił cięcie nieprzyjacielskiej szabli!

Ciężko ranny, nie mogłem myśleć o dalszej walce.

Poczciwy Wojciech najął prosty wóz, dobrze wymoszczony słomą i bocznemi, nieuczęszczanemi drogami, najczęściej nocą, wiózł mnie do domu, kryjąc się we dnie po dworkach i chatach wieśniaczych.

Długa, uciążliwa droga nie służyła mojej ranie, i prawie nieprzytomny, pewnej ciemnej nocy znalazłem się przed domem rodzinnym.

Przeczułem raczej, niźli poznałem dwór nasz stary. Skupiłem siły, otwarłem oczy i zapytałem:

— Gdzie jestem?

— U siebie w domu — usłyszałem dobrze mi znane głosy moich najdroższych.

Na rękach ich dostałem się do domu, gdzie mnie na miękkiej złożono pościeli.

Czułem straszne wyczerpanie sił.

Nie mogłem mówić, ale oczy moje radośnie spoglądały kolejno to na matkę, to na Zosię, to na Tadzia, którzy, płacząc cicho, otaczali mnie.

Pod rozpiętym mundurem, na zranionej piersi, spoczywał drogi nasz hebanowy krzyżyk.

Nie mogąc przemówić, wzrokiem wymownym wskazałem go matce.

Zrozumiała poczciwa, czego chcę, a zdjąwszy go z mych piersi, zawiesiła na ścianie nad łożem.

Jak niegdyś w dzieciństwie, tak i teraz patrzyłem nań z pobożnem uczuciem wdzięczności i spostrzegłem na jego trzonie obok dwóch poprzednich, trzecią rysę od wrogiej szabli, w pierś moją godzącej i ślad świeżo zakrzepłej krwi mojej.

Skupiłem tedy wszystkie myśli, a nie mogąc poruszać ust, modliłem się w duszy: O Jezu, błogosław biednej ojczyźnie, wyzwól ją z niewoli. Dzięki Ci, o Jezu, żeś dał mi być prawym Polakiem!

*

Rana goiła się szybko, zaczem wkrótce odzyskałem zdrowie, a z niem zawitał znowu w dom nasz cichy spokój rodzinny. Szczęścia nie znałem, bo go nie było w ojczyźnie.

Przypuszczając, iż nikt nie wiedział o wypadkach w naszym domu, gdy zawierucha minęła, byłem spokojny o przeszłość.

O, jakże srodze omyliłem się, o Boże!

Pewnego wieczora, do pokoju, gdzieśmy wszyscy siedzieli u stołu, wpada przerażony Wojciech, wołając: Żandarmi otaczają dom!

— Uciekaj! — wołają obie blade niewiasty.

Zapóźno. W tej chwili wchodzi oficer i aresztuje mnie.

Ha, trudno — kto raz się poświęcił Bogu i ojczyźnie, na wszystko przygotowanym być musi.

Pożegnałem żonę i Tadzia, przypadłem do rąk matki ukochanej, która krzyżyk hebanowy zdjęła ze ściany, a zawieszając mi go na piersiach, rzekła ze łzami:

— Niechaj cię prowadzi i znowu nam wróci!

I poszedłem w kajdany zakuty tam, skąd się nie łatwo, lub nigdy nie wraca....

Dwadzieścia lat w zimnych lodach północy, spędzonych częścią w podziemnych kopalniach, a częścią na pracy ręcznej, ażeby zarobić na kawałek chleba, gdym się dostał „na osiedlenie", poorały czoło, włos przyprószyły siwizną.

Trapiony tęsknotą za krajem ojczystym i rodzinną wioską, skąd mnie bolesne dochodziły wieści, że matka staruszka legła w grobie, później

znów, że i droga Zosia umarła, cierpiałem straszne katusze.

Jedyną pociechą w owym czasie był dla mnie hebanowy krzyżyk, który w godzinach upadku ducha, tuliłem do piersi, oblewałem łzami i do spieczonych przyciskałem ust. W nim ukojenia szukałem, z niego czerpałem siły, nadzieję.

Miałem chyba tę jedną pociechę, że dobry Bóg Tadzia, mego synka drogiego, żywym zachował.

Przygarnęli dobrzy ludzie sierotę, a on rósł mężny i dzielny i — jak słyszałem — często wspominał o mnie.

Wlokły się lata na obczyźnie, w niewoli, jak ciężkie, czarne chmury po posępnem niebie, nie przepuszczając nigdy ani jednego jasnego, słonecznego promienia.

Aż razu pewnego — pamiętam — dwudziestego roku niewoli, przez cały Sybir, od wschodnich aż do zachodnich jego kończyn, gdzie choćby jedno biło polskie serce, jak błyskawica, przebiegł radosny okrzyk: „amnestya".

Z tym wyrazem życie wstąpiło nawet w strupieszałe już niemal ciała starych wygnańców.

Amnestya — dźwięczało mi dniem i nocą, jak pieśń jakiejś cudownej harfy, jak zbawienie duszy, jak nigdy niedościgłe senne marzenie, jak tajemnica skryta w cichym, najtajniejszym kątku serca!

Pocóż wracać — mówił rozum — gdy tam wszystko dla ciebie stracone, zmienione stosunki, ni matki, ni ojca, ni żony, ni wioski rodzinnej, boć i tę zagrabił rząd!...

Tam twoja ojczyzna, tam ziemia skropiona krwią twoją, tam dziecię, syn twój — mówiło serce!

I serce, jak zwykle, zwyciężyło rozum, co zimno liczy.

Poszedłem więc — poszedłem tam, gdziem wszystko utracił, gdzie z całej miłości mojej i doczesnej fortuny, została na cmentarzu wspólna mogiła, kryjąca zwłoki ojca, matki, żony.

Pomodliwszy się gorąco nad ich grobem, zwróciłem kroki w stronę rodzinnego domu, gdziem jak pisklę pod okiem rodziców się chował, igrał wesoło, skąd jak orzeł rączy leciałem na krwawe boje, by wrócić z poranionem skrzydłem.

Stanąłem przed dworkiem i serce omal nie pękło mi z bólu na widok tego, co ujrzałem.

Dom opustoszały, pochylił się jak starzec zgrzybiały ku ziemi, dach przegniły w głąb się zapadł, okna i drzwi wydarte, belki zmurszałe, wszędzie ruina i straszne opuszczenie.

Wszedłem do środka, choć krwawiło się serce, choć krew stygła w skroniach.

Chciałem po raz ostatni pożegnać te zwaliska, w których tyle promiennych przeżyłem chwil.

Po przez progi przegniłe, zwały belek, kup rumowiska, przedarłem się do pokoiku, gdziem niegdyś przed krzyżem modlił się z mamą.

Ciemno było. Trafiłem jednak po omacku i przy owej ścianie uklęknąłem, jak dawnemi laty, a wyciągnąwszy hebanowy krzyżyk z zanadrza, szeptałem słowa modłów, jak ongiś maleńki Jaś...

I zdało mi się w tej chwili, że gdzieś z oddali spływa do mnie droga postać mej kochanej matki i znowu razem ze mną dawne odprawia modlitwy.

Widzę ojca, Zosię, jak otaczają mnie kołem, a pochylając się, słodko patrzą mi w oczy.

Tak mi miło pod tą ojczystą strzechą w towarzystwie tych drogich, umiłowanych duchów, tak swojsko i ciepło, że chciałbym w tej starej, walącej się chacie, żyć wiecznie, a raczej spokojnie zasnąć na wieki. . . . . .

Wtem widzę, jak jakaś nowa postać, piękna, męska, szlachetna i młoda, otwiera ku mnie ramiona i jedno czarowne szepcze słowo: „ojcze!“

To Tadzio, syn mój drogi!

Jakże pragnę go widzieć, uściskać — o jakże i on zapewne pragnie zobaczyć ojca!...

Ucałowawszy więc progi mego gniazda rodzinnego, idę tam, gdzie woła mnie miłość ojcowska.

Staję wkrótce w domu dobrych ludzi, co przygarnęli sierotę...

Serce ojca przeczuło syna, a syn za jednem spojrzeniem poznał ojca.

Rzuciliśmy się ze łkaniem w objęcia.

Po długich wynurzeniach, obopólnych opowieściach o przeżytych, zmiennych życia kolejach, czułem, że muszę do mojego dziecka jak ojciec stojący nad grobem, przemówić.

— Tadziu — rzekłem tedy— pamiętaj, że dwie są rzeczy święte dla Polaka, którym w naszym rodzie nikt nigdy nie sprzeniewierzył się w życiu: Bóg i ojczyzna!

— Widzisz ten krzyżyk? Patrz, na nim trzy rysy od cięć szabli i trzy ślady zastygłej krwi!

To rysy od cięcia szabli, która mierzyła w pierś twego pradziada, a ta, śladem ocalenia dziada, ta trzecia wreszcie, moją krwią zakrzepłą świadczy, że i mnie ten krzyż życie ocalił.

Te krople krwi przelanej w obronie ojczyzny i ten krzyż, to najcenniejsza nasza, jedyna rodzinna pamiątka!

Nic ponad to nie pozostało nam z dawnych bogactw!

Ni dostatków, ni sławy nie zostawię ci w spuściźnie. Ten krzyż jeno ci daję.

Patrz, dosyć na nim miejsca na czwartą rysę i kroplę krwi twojej, kiedy ojczyzna zawoła!

Daję ci ten krzyż, który w ciężkich godzinach niewoli był moją jedyną pociechą, słodyczą, ostoją.

*

Dzierz go wysoko, wyznawaj go śmiało, bo tylko w krzyżu nadzieja, w krzyżu zbawienie, bo Bóg i ojczyzna w narodzie polskim łączą się przez męczeństwo, jak ta krew nasza z tym krzyżem naszym.

W świątyni!

Cudny poranek zajaśniał nad Jerozolimą, gdy Pan, spędziwszy noc na modlitwie, z góry Oliwnej zstępował do miasta.

Jakkolwiek wczesną była godzina, tłumy ludu ze wszystkich ulic płynęły w stronę świątyni, która wspaniale wznosiła się na górze Morya, skąpana w purpurowych blaskach wschodzącego słońca.

Przez siedm bram wspaniałego przybytku tłoczyło się równocześnie mrowie ludzkie na dziedziniec pogan, stąd na miejsce oczyszczenia niewiast, a następnie bramą wielką cała ta fala, jak morze wzburzone, płynęła do przedsionku, gdzie na krużganku modliły się niewiasty, na dole zaś mężczyźni.

Tutaj mieścił się skarbiec, służący do przechowywania drogocennych sprzętów świątyni, u wstępu zaś przybita była mała skarbona, do której wierni składali ofiary.

Dzisiaj wielka uroczystość w Izraelu, uczta duchowna, zapowiedziana przez Pana, dzisiaj bo-

wiem w murach tej świątyni miał karmić rzesze pobożne słowem Bożem.

Opodal skarbony usiadł Pan, a dokoła, jak u stóp ukochanego ojca, rozsiadły się rzesze ludu, ażeby Go słuchać, a słowa Jego zapisać głęboko w pamięci i w sercu.

A słowa Pana padały na rzeszę ciemną, jak deszcz majowy, użyźniający na spieczoną glebę.

Szły słowa Zbawiciela, jako dźwięki przecudnej, Bożej pieśni, która na twardych strunach serc ludzkich odzywała się wdzięcznem echem i wydobywała z nich głębokie łkania i porywy ku prawdzie i cnocie.

Szły słowa Zbawiciela, jak pochodnia ognista wśród nocy, napełniając czarne mroki dusz ludzkich nadziemskiem światłem, zapalając je ogniem nieznanej im dotychczas miłości ku Bogu i pragnieniem wiernej Jemu służby.

Inaczej na te nauki Pańskie zapatrywały się rzesze faryzeuszów, kapłanów i uczonych w piśmie.

Chciwi chwały zewnętrznej i sławy rozgłośnej, święci z pozoru, a w istocie przewrotni, mściwi, tajemnym chuciom oddani, faryzeusze nienawidzili Tego, który szedł prawdą przez świat i jaśniał niepokalanem życiem, bez cienia plamy i zmazy.

Nienawidzili Go dla Boskiego posłannictwa Jego, dla Jego nauk, świętości, zaparcia się i po-

święcenia, dla Jego prostoty, prawdomówności i ubóstwa, dla Jego powagi, poważania i wpływu, jakim się cieszył u ludu.

Postanowili więc za jaką bądź cenę podchwycić Go w mowie, oskarzyć, pojmać i jako bluźniercę, buntownika ludu, poprowadzić na śmierć.

Dobra dla ich zamysłów nadarzyła się sposobność, doniesiono bowiem, że właśnie przed chwilą na grzechu rozpusty schwytano jakąś niewiastę.

Znakomita rzecz — mówili faryzeusze i ich poplecznicy, z radości zacierając ręce — po cóż mamy sądzić grzeszną niewiastę, niechaj ją sądzi Ten, co się ma za nauczyciela, proroka i Mesyasza.

Jeżeli ją uniewinni, sprzeciwi się prawu Mojżesza, nakazującemu kamionować cudzołożniki; a wówczas oskarzymy Go, iż poniewiera i depce prawa zakonu.

Potępi ją zaś — obwinimy Go o fałsz i obłudę, boć twierdzi, że nie przyszedł potępiać ludzi, lecz zbawiać.

Jak stado zgłodniałych wilków rzuca się wściekle na łup, podobnie faryzeusze chwytają nieszczęsną grzesznicę, a wystawiając bezlitośnie na szyderstwa i obelgi tłumów, wiodą ją po ulicach miasta do świątyni na sąd.

Struchlała grzesznica, gdyż wiedziała, że czeka ją straszna śmierć powolnego konania pod gradem kamieni, śmierć hańbiąca na placu publicznym, wobec całego świata.

Czuła, że nikt za nią nie przemówi, nikt się nie ujmie, lecz każdy z obecnych uzna za święty obowiązek, choćby jednym kamieniem przyczynić się do jej śmierci.

Już w drodze widziała rozpłomienione twarze mężów i niewiast, nienawistnym mierzących ją wzrokiem, widziała pięści w kułak ściśnięte ku niej wymierzone, słyszała ku sobie zwrócone obelgi, wyzwiska, przekleństwa tłoczącej się gawiedzi i była pewną, że u tych tłumów nie znajdzie litości.

Wówczas bowiem nie wiedziano jeszcze, co miłosierdzie, co litość, nie znano cudownej nauki, że Bóg się cieszy więcej jednym nawróconym grzesznikiem, aniżeli dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi i dlatego kamionowano, a nie nawracano grzeszników.

Boska nauka Chrystusa była wówczas dopiero jak jutrzenka, co na widnokręgu poczyna różowieć i promyczek po promyczku wysyła w cienie nocy, zanim rozbłyśnie w jasne słońce, zanim przejdzie w głębie i tajniki serc ludzkich.

Nie znano jeszcze wówczas cudownego źródła miłości, źródła pokuty, w którem skąpana

grzesznica, mogła się oczyścić, stać zacną, miłą Bogu i pożyteczną społeczeństwu.

Dlatego też prawie nagą, zapłonioną od wstydu, we łzach tonącą, prowadzono na sąd, ażeby ją potępić i zgubić, a zarazem potępić i zgubić sędziego boskiego.

A czynili to ci, co stawali na rogach ulic i modlili się publicznie, ażeby ich chwalono, co jałmużnę wobec wszystkich rozdzielali hojnie, by ich podziwiano, co dziesięciny i dary obfite dawali w świątyni, ażeby ich sławiono.

Wśród tłumów ciemnego ludu, nie zdającego sobie sprawy z ich postępowania, faryzeusze, skryci zdziercy, tajemni cudzołożnicy, prowadzili cudzołożną niewiastę na sąd, nie przewidując, jaki ich samych czeka wyrok, nie przejrzeli bowiem serca najsprawiedliwszego, lecz i najlitościwszego Sędziego nowego Zakonu.

Nagle przy krużganku, niedaleko skarbony, powstał ruch i zamięszanie.

Podnieśli się gniewnie mężowie i niewiasty, bacząc coby się stało, pytając groźnie, kto śmie zamącać pokój Pańskiego przybytku, gdzie w chwili tej właśnie brzmiały nauki i słowa cudowne Bożego Męża.

Faryzeusze i towarzysze ich, zawsze pewni siebie, przywiedli niewiastę grzeszną przed Pana i rzekli:

— Nauczycielu, tę niewiastę teraz zastano w cudzołostwie. A w zakonie rozkazał nam Mojżesz za grzech taki kamionować; ty tedy co mówisz?

Spojrzał Pan.

U stóp jego świętych klęczy niewiasta, drżąca jak liść srebrzystej brzozy, gdy w nią wiatr uderzy. Ręce błagalnie skrzyżowała na piersi, a okiem łez pełnem, zdawała się błagać o przebaczenie i litość.

W jej twarzy, od wstydu spłonionej, łzami zalanej, było tyle żalu i skruchy, tyle ufności i wiary w sprawiedliwość i miłosierdzie nieznanego jej sędziego, iż zmiłował się Pan.

Ulitował się Pan tej przez faryzeuszów sponiewieranej godności ludzkiej, ulitował się jej łez, wstydu, jej cichej prośby, tego pohańbienia słabej niewiasty, gdy ją jak dzikie zwierzę na urągowisko prowadzono tłumów, wszystkie zniewagi i obelgi poczytał jej za pokutę.

Przed Panem liczna rzesza ludu z zapartym oddechem oczekuje Jego wyroku. A Pan pragnął podnieść ją z mroków na światłość i zapalić w jej ciemnych sercach promień świętej nauki, jakiej nikt przed Nim nie głosił na ziemi, nauki miłości.

Chciał wpoić w zimne serca wyznawców krwawego prawa, żądającego oka za oko, zęba za ząb, przekonanie, że prawo to niegodne Jego

wyznawców, boć Jego nauka, to wiara, nadzieja i miłość, a z tych największą jest miłość.

Przed nim stoją faryzeusze, na pozór spokojni, z szyderstwem w obliczu, z jadem nienawiści w duszach, oczekując niecierpliwie Jego wyroku.

Przejrzał Pan ich obłudę, podstęp i fałsz i jednem słowem zniweczył ich niecne zamiary.

Nie przebrzmiało jeszcze pytanie faryzeuszów, gdy Pan podniósł się, a wskazując na grzeszną niewiastę, głosem pełnym powagi i mocy rzekł: „Kto z was bez grzechu jest, niech na nią pierwszy rzuci kamień!“

A chcąc im dać czas do namysłu, schyliwszy się, pisał na ziemi.

Nastała cisza, a cisza tak wielka, jak kiedy wśród ognia błyskawic grom z nieba uderzy i hukiem strasznym wszystko oślepi, zagłuszy i drżące usta zmusi do milczenia.

Boć wyrok Pana, jak grom z pogodnego nieba, nie tylko faryzeuszów, ale we wszystkich obecnych uderzył.

Któż bowiem bez grzechu był?

Nastała cisza, że słychać było szelest liści przydrożnych palm, lot motyla, unoszącego się nad kwieciem i lekki podmuch wiatru, płynącego ponad krużganki świątyni.

Milczała rzesza, a wszedłszy w siebie, poczęła badać sumienie, ażali wolne od winy.

Stropili się faryzeusze, doktorowie i uczeni w piśmie, pragnący uchodzić za świętych. Lękając się twierdzić, iż są bez grzechu, nie znaleźli słowa odpowiedzi.

Czyż nie odważy się żaden, jak ów faryzeusz, w środku świątyni, czelnie wyliczać swe dobre uczynki, cnoty, zalety?

Lecz co powie wtedy ten lud, znający pychę faryzeuszów, ich tajne występki i grzechy?

Czyliż na śmiałka, twierdzącego, iż jest bez winy, nie rzuci się z oburzeniem, ażeby go ukamionować?

Może po raz pierwszy spojrzeli faryzeusze uważniej w głąb duszy własnej, a spostrzegłszy całą przewrotność i nikczemność swoją, oniemieli pod wyrokiem Pana. Ten wyrok pouczył ich, iż sami grzesznicy, potępienia godni, miasto być sędziami grzesznej niewiasty, powinni błagać o miłosierdzie i przebaczenie dla swoich win i grzechów.

Cóż mieli rzec więcej, oni niepoprawni, zatwardzieli, w własne pochwyceni sidła?

W milczeniu jeden po drugim wymykali się z świątyni, a ziejąc nienawiścią, odłożyli zemstę nad Panem na czas dogodniejszy.

Dziwiła się rzesza ludu mądrości Pana, a wielbiąc Jego pełen miłosierdzia wyrok, wśród cichych szeptów poczęła się rozchodzić po krużgankach i obszernych dziedzińcach świątyni.

Niewiasty i mężowie pół głosem opowiadali sobie o zawstydzeniu i upokorzeniu faryzeuszów, godząc się na jedno, iż będąc grzesznym, nikt nie miał prawa sądzić, lub potępiać grzesznicy — jeno Bóg!

Powoli opróżnił się krużganek i przyległy plac, nikt bowiem nie śmiał potępić grzesznicy, nie mógł pierwszy nań rzucać kamieniem.

I został Pan sam, a przed Nim niewiasta.

Stał sędzia najwyższy, który wobec faryzeuszów i tysiącznej rzeszy mógł niegdyś pytać: „Kto jest z was, kto dowiedzie na mnie grzechu", a nikt się nie ozwał, a nawet faryzeusze milczeli, zniewoleni hołd oddać świętości!

Stał sędzia Najwyższy, pod którego sąd dobrowolnie poddali się faryzeusze i spowodowali wyrok nieznany dawnej ludzkości, wyrok miłosierdzia i przebaczenia, miarodajny od tej chwili po wszystkie czasy dla wszystkich!

Stał sędzia Najwyższy w świątyni, w domu Ojca Swojego, skąd cześć Boga prawdziwego rozejść się miała na cały świat.

Rozwiały się dymy kadzideł, ustały ofiary dziękczynne, zamilkły chóry lewitów, zburzona świątynia, ale wyrok Pana nie przebrzmiał bez echa! Gdzie bowiem krzyż Jego zabłysnął, tam sławią Jego miłosierdzie i litość i powtarzają Jego słowa: „Ja chcę miłosierdzia, a nie ofiary!"

A podniósłszy się Pan, rzekł: „Niewiasto, gdzież są, co na cię skarzyli? Żaden cię nie potępił?

Żaden, Panie — odrzekła niewiasta.

I ja ciebie nie potępię — powiedział Pan — idź, a już więcej nie grzesz!

Nie potępił Pan grzesznicy, lecz zakazawszy grzechu, wskazał drogę do poprawy.

Niedawno jeszcze pod pręgierzem hańby, na pewną śmierć wleczona, teraz pojednana z Bogiem, uwolniona od śmierci, widzi przed sobą szczęśliwa niewiasta jeszcze długie życie, wolne od występków, a oddane szczerej pokucie.

Jak po gwałtownej burzy cała przyroda się odświeża i bije żywszem tętnem, tak w serce nawróconej grzesznicy wstępuje cisza w cnoty płodna, pokój błogi, złączony z nadzieją, wzmacniającą słabe, upadłe siły.

Skruszona niewiasta, z sercem przepełnionem wdzięcznością, powstawszy od stóp Pana, wracała do rodzinnego ogniska.

Wspaniała świątynia, gdzie w takiej obfitości doznała miłosierdzia Bożego, wydała się nawróconej jakby przedsionkiem samego nieba, a w rzeszy ludu tam zgromadzonej, widziała braźnie i siostrzane serca, gotowe każdej chwili przygarnąć ją i wszystko przebaczyć i wszystko zapomnieć.

Szła z przekonaniem w duszy, że świat teraz jakiś inny, lepszy, że umie nie tylko kamienować, ale i przebaczać, nie tylko potępiać i gubić, ale upadłe na wyżyny podnosić i dać im sposobność do poprawy.

Modlitwa dziękczynna, głęboka, płynęła z jej piersi do Pana i zdało się jej, że cała przyroda odczuła błogość jej duszy i wraz z nią wielbi Boga i śpiewa Mu hymn dziękczynny za Jego miłosierdzie, któremu nie masz końca.

*

Z krużganków i przyległych placów znowu ciśnie się rzesza, ażeby usłyszeć słowa Pańskiej nauki.

Półkolem usiedli mężowie, niewiasty i dzieci, wytężają słuch, ażeby nie uronić ze słów Bożej manny, która miała karmić ich zgłodniałe dusze.

Jakby ciemna zasłona spadła z ich oczu, a światłość niebiańska wejrzała w dusze, gdy Pan przykładem i słowem nauczał, jak bliźnich kochać, jak sądzić należy.

I rzekł im Pan:

„Jam jest światłość świata. Kto za mną idzie, nie chodzi w ciemności, ale będzie miał światłość żywota".

KRONIKA POWSZECHNA

TYGODNIK SPOŁECZNY, LITERACKI I NAUKOWY.

REDAKTOR NACZELNY:
TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

WYDAWCA: ZA TOW. IM. PIOTRA SKARGI:
STANISŁAW HENRYK BADENI.

Warunki przedpłaty:

We Lwowie:

miesięcznie	K 1
kwartalnie	„ 3
półrocznie	„ 6
rocznie	„ 12

Za odnoszenie do domu dopłaca się 20 h. miesięcznie.

W kraju i monarchii:
z przesyłką pocztową

miesięcznie	K 1·20
kwartalnie	„ 3·50
półrocznie	„ 7·—
rocznie	„ 14·—

W Niemczech:

miesięcznie	M 1·20
kwartalnie	„ 3·60
półrocznie	M 7·20
rocznie	„ 14·40

W Królestwie Polskiem i Rosyi:

miesięcznie	R —·60
kwartalnie	„ 1·80
półrocznie	„ 3·60
rocznie	„ 7·20

W innych państwach Związku pocztowego:

kwartalnie	Fr. 4·50
półrocznie	„ 9·—
rocznie	„ 18·—

REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
LWÓW, ULICA TEATRALNA L. 3.

Prenumeratę na W. Ks. Poznańskie przyjmuje:
KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA, POZNAŃ, ULICA ŚW. MARCINA L. 69.

TOWARZYSTWO IM. PIOTRA SKARGI

WE LWOWIE, ULICA TEATRALNA LICZBA 3

wydało:

	Kor.
Głosy pisarzy polskich w najważniejszej sprawie moralności społecznej	1·50
Stanisław Lam: Zarys najnowszej literatury polskiej. Zeszyt I.	—·20
Teodor Jeske-Choiński: Moralność naukowa	—·20
J. Andruszewski: Spowiedź ojca (nowela)	1·—
„ „ Obraz	—·30
J. Kossak Pełeńska: Rozbieżne drogi	—·80
E. Ligocki: Legendy o królowej Jadwidze	—·30
„ „ Pustkowie	1·—
Ks. B. Żychliński: Siedem grzechów głównych	1·—
„ „ „ O strzeżeniu wiary i czystości obyczajów	1·—
„ „ „ O wychowaniu dzieci	1·—
Adam Konopka: O zapobieżeniu pornografii	—·20

Książki przystępne dla wszystkich:

	gr.
Nr. 1. Piotr Skarga (wyczerpane)	10
„ 2. Czerwone prawdy	10
„ 3. Grunwald	10
„ 4. Częstochowa	10
„ 5. O wychowaniu dzieci	10
„ 6. Pouczenie dla ludu o przepisach skarbowych	10
„ 7. Największy wróg ludzkości	20
„ 8. Z górnych chwil (opowiadanie hist.)	10
„ 9. Dwie bitwy (opowiadanie hist.)	10
„ 10. Legendy o Królowej Jadwidze	10
„ 11. O pielęgnowaniu dzieci	30
„ 12. Praca wśród ludu	10
„ 13. Dlaczego Chrystus ma wrogów	20
„ 14. Do jakich stowarzyszeń Polak należeć powinien?	20
„ 15. Opłatki	80
„ 16. O Konstytucyi 3-go Maja	10

Ze zbioru 12 Książek dla polskiego narodu wyszły już:

	gr.
Książka I. Jan Łada: Ostatnia msza; Z ciężkich dni	40
„ II. E. Zorjan: Zygmunt Krasiński, wierzącej Polski wieszcz	40
„ III. Cz. Pieniążek: O życiu, dziełach i zasługach ks. Piotra Skargi	40
„ IV. E. Zorjan: Przez zasługi do korony	40
„ V. Ks. Biskup Bandurski: Złote usta, złote serce, obrazek sceniczny z życia ks. Piotra Skargi	40
„ VI. R. Knendich: Wspomnienie o krzyżu	40
„ VII. St. Lam: J. I. Kraszewski	40

W drodze przedpłaty kosztuje 12 książek dla polskiego narodu zamiast K 4·80 tylko K 3·40.

Zamawiać najlepiej wprost u Wydawnictwa.